

Dobre „Igraszki“

POLSKA prapremiera utworu Marivaux, który oglądamy obecnie na scenie teatru Kameralnego, odbyła się w czerwcu roku 1777 w Warszawie. Stoletnia publiczność, jak podaje czasopiśmo literackie z tego okresu, przyjęła ją „dość dobrze“, ale bez tego zachwytu, jaki towarzyszył każdemu przedstawieniu „Gracza“ Czartoryskiego, i bez wzruszenia, jakie wywołała programowa mieszczańska tragedia „Bewerlej“. Ostrożnie zarysowany przez Marivaux konflikt uczucia i uprzedzenia nie był dla warszawskich widzów ani nowy, ani zaskakujący swą śmiałością. Wielokrotnie bowiem od lat kilku oglądali na scenie Wołterowskiego hrabiego w polskim przebraniu, który opierając się przesadom krewnych poślubia prostą wienśniaczkę.

Widz współczesny słucha sześciotu kochanków z chłodnym spokojem, bawi się ich przekomarzaniem, ale pozostaje niewzruszony, bowiem od samego początku zdaje sobie sprawę, że to tylko zabawa, która skończy się jak najbardziej pomyślnie.

Muszę przyznać, że będąc na wrocławskim spektaklu komedii Marivaux*) miałam trochę pretensji do reżysera za zbyt wolne tempo przedstawienia, za zbyt przeciągającą się sceny między Sylwią i Dorantem i zbyt długie przerwy w tym króciutkim obrazie. Jest to jeden z tych spektakli, który można by zagrać „jednym tchem“, tym bardziej, że widz nie potrzebuje tu wytchnienia, jako że

nie przeżywa „dogłębnie“ perypetii głównych bohaterów i czeka na każde pojawienie się Lizety i Paskina, którym towarzyszy śmiech i nierzadko oklaski.

Z oklaskami, to zagadnienie osobne. Wydawało mi się racji w ustawieniu postaci obojga służących. Wydawało się, że obie pary kochanków powinny być do siebie podobne, a różnice między nimi powinny być bardzo subtelne. Nie ufając własnym wyobrażeniom raz jeszcze przestudiowałam tekst i w tłumaczeniu Boya i w oryginalnym. I przyznałam rację reżyserowi, chociaż tylko w polowie. Język — sprawa tak ważna dla klasycyzmu, dbałego o jak największą wytworność słowa — otóż język bohaterów „Igraszek“ jest bardzo zróżnicowany. Inaczej mówi Dorant, inaczej Paskin, inaczej Sylwia, a inaczej Lizeta. Pytając na przykład o pana Orgona, Paskin powie „mój teść“. Prawdziwy Dorant musiałby powiedzieć chociażby „mój pan teść“, a poprawnie „pan Orgon“. To drobiazg, ale takich drobiazgów jest wiele i to zobowiązuje reżysera i tu reżyser ma rację. Ale o ile w tej koncepcji dobrze postawioną jest Lizeta Lorentowiczówny, o tyle zawodzi Paskin Michałaka.

Małgorzata Lorentowicz stworzyła postać wesołą, żywą, pełną temperamentu. Ładną buzią i pięknym strojem dorównywała swej pani i tylko brak „towarzyskich hamulec“ ujawniał jej „kredensowe pochodzenie“. Była spontaniczna i żywiołowa w przeciwieństwie do dobrze ułożonej jaśnie panielki, która jedynie w momentach rozterki traciła panowanie nad sobą.

Natomiast Paskin Michałaka był nie tylko żywiołowy, i nie tylko wypowiadał się w sposób wcale nie wyszukany, ale był wręcz prostaki, i jego przysadzista, czarno-czerwona postać raziła na tle pozostałej trójki. Trudno było wprost pojąć, że sprytna Lizeta, która w pierwszej scenie głosi pierwszeństwo urrody przed wszystkimi innymi cechami oblubieńca, tu nagle zostaje oszukana przez wcale nie pańskie gesty Paskina. Trudno jest też dziwić Sylwii, że od pierwszego wejścia czuje do niego antypatię. Moim zdaniem Paskin powinien przybrać postać przystojnego, nieokrzesanego szlachcica z zaścianką, który raz w rokokowym salonie, ale nie powinien być taki farsowy. I dlaczego Michałak gra bez peruki?

Sylwia Komorowskiej naprawdę ujęła widzów. Wdzieliśmy na scenie nie aktorkę, ale samą, pełną uroku Sylwii, która rzeczywiście przeżywała swe perypetie. Bez afektacji, bez przesady i fałszu, jedynie uśmiechem, błyskiem oczu, skrzywieniem twarzy, dąsem, modulacją głosu i lekkim, oszczędnym ruchem ukazała Komorowska wszystkie odcienie coraz to zmieniającego się nastroju tej dzwieniącej postaci, od zadumania i niepokoju, poprzez ośnienie urokiem kochanka, zdziwienie jego śmiałością, uczucie obrażonej dumy, przekory i zalotności, do pełnej opanowania radości przy wyznaniu Doranta i do szczerzej, serdecznej radości z powodu zwycięstwa miłości.

Obdarzwszy swą Sylwii bogatym życiem wewnętrznym, Marivaux poskapił go Dorantowi, który jest i zbyt jednolity i trudny do zagra-

nia. Bogusław Dantelowski interpretował swą rolę z kulturą, swobodą i wdziękiem, ale nie mógł się nią przejąć tak całkowicie jak Komorowska Sylwii. Wyczuwało się, że artysta przy końcu drugiego i w trzecim akcie jest nieco zmużony uporem i wahaniem Doranta, toteż szczególnie szczerze i radośnie zabrzmiały jego słowa: „Nie masz stanu, urodzenia, majątku, które by nie zniknęły wobec duszy takiej jak twoja“, przynosząc wreszcie ulgę jemu samemu, Sylwii, no i publiczności.

Władysław Dewoyno w zbyt blądzej roli dobrodusznego ojca nie czuł się dobrze, szczególnie w pierwszym akcie, potem grał nieco swobodniej. Bernard Michalski podobał się w stylowym stroju. Ze swej niezbyt skomplikowanej roli wywijał się bardzo dobrze, był z lekką ironią, lecz przy tym pełen serdeczności dla siostry. Ale Michalski potrafił wydobyć ze swej roli więcej niż na to pozwalał tekst. Wyras jego twarzy, gest, wskazywały na to, że na pewno inaczej potraktowałby lokaja, mizdrzącego się do Sylwii, gdyby nie był aż nadto pewny, kto kryje się pod przebraniem.

Dekoracje przyjemne, wyraźnie akcentujące epokę. Kostiumy z wyjątkiem Paskinowego bardzo w swej stylowości trafne i ładne. Balletowe zakończenie niepotrzebne jako dodatkowa kropka nad „i“ i całkiem nieciekawe.

Wrocławskie przedstawienie „Igraszek trafia i miłości“ jest rzeczywiście udane, przygotowane z dużą starannością. Prosimy o więcej takich.

Janina Pawłowicz

*) Marivaux „Igraszki trafia i miłości“, przekład: Tadeusz Boy-Zeleński, reżyseria: Leonia Jabłonkówna, scenografia: J. Adwiga Przeradzka.